Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 6. Poznań, dnia 10. Lutego. 1840.

Literatura zagraniczna.

Du crédit et de la circulation,
par Auguste Cieszkowski.
Paris, chez Treuttel et Wurtz, 1839.

(Dalszy ciąg.)

Autor dwie główne jeszcze z zaprowadzenia powyższych biletów wykazuje korzyści, z których pierwszą, że posiedzicielowi nadają dobrodziejstwa kass oszczędności, albowiem z każdym dniem przynoszą mu procent, kto więc może odłożyć 50 tal., nie będzie miał potrzeby zanieść je do kass pomienionych, bo bilet przychodowy na takąż summę wystawiony, te same mu renty przyniesie;*) powtóre, że tym sposobem wszelakie działania pieniężne nie będą wymianami kapitałów, ale wymianą prowizyi od kapitałów, co jest istotném wyższém rozwinieniem się kredytowego systemu. Bogactwo tak kraju, jak pojedyńczego człowieka, nie mierzy się kapitałem, lecz przychodem. Ten mi bogatszy, któremu 1000 tal. kapitału przynosi 150 rocznego czystego dochodu, niżeli ten, którego majątek liczy 2000 tal., a dochodu ma z niego tylko 100. Kapitał sam przez się niczém nie jest, staje się dopiero wartością, gdy dochód przynosi. Wszelakie zatém spekulacye, kupczenia, są właściwie działania przychodowe, zabiegi o mnożenie przychodu. Kto za 100 tal. produkt swój przedał, niczby nie zyskał, gdyby tę summę zamknął na zawsze do skrzynki, dla tego ją co prędzéj obraca na co innego, aby mu się wróciła z przewyższką 5, 10 tal. i t. d. Wszakże bilet rentowy ma tę własność, że rośnie w przychód, gdziekolwiek się znajduje.

Przychód roczny biletu rentowego stanowi autor na 3,65 %, mając wzgląd, że niższy procent obrałby go z powabu zysku, wyższy zaś stał na na przeszkodzie jego cyrkulacyi. Taxa ta procentowa ma jeszcze i tę dogodność, że dając liczbę dni roku (365), z łatwością na każdy dzień obrachowaną być może. Utrwalenie takiego procentu, obok zupełnéj pewności assygnowanego przez bilet kapitału, sprawiłoby, iżby się papiery rzeczone najczęściéj utrzymywały al pari, i nie mogły ani zbyt podnieść nad sto, ani spaść zbytecznie, nadzwyczajne tylko przypadki wyjąwszy. Gdyby się albowiem podniosły za wysoko, każdyby puszczał w obieg swoje kapitały, a napływ ich ztąd urosły zniżyłby znowu kurs biletów rentowych; przeciwnie, gdyby spadły niżéj sta, każdy wolałby je nie wydawać i kontentować się przychodem z procentu; brak zatém cyrkulacyi podniósłby je znowu do właściwego kursu. Podobnie też złoto i srebro nie może nigdy spaść niżéj wewnętrznéj wartości, w takim bowiem przypadku zamienianoby pieniądz na sztaby (lingots). Bilety rentowe miałyby więc tę własność, iżby nie ulegały takiéj fluktuacyi swoich wartości, jak inne papiery publiczne, i były zarazem regulatorem cyrkulacyi, zapobiegając to zbytniemu napływowi kapitałów, to zbytniemu niedostatkowi onychże. Z tych przeto względów raz puszczone w obieg, wytrzymałyby konkurrencyą, nie tylko z papierami mniejszéj, a często żadnéj pewności zastawnéj, ale nawet z monetą brzęczącą, któréj wyższość kredytowa ze wzrostem nauk chemicznych i metalurgicznych prędzéj czy późniéj koniecznie upaść musi. Już teraz za pomocą żywego srebra tak nie do poznania naśladować można drogie metale, że bylibyśmy już zarzuceni fałszywemi pieniędzmi, gdyby kosztowność zachodu około wydobywania żywego srebra nie stawiała jeszcze temu przeszkody. Gdy takowa zniknie z podniesieniem się metalurgii, bić będą fałszywą monetę, i spadnie złoto i srebro niżéj wartości swojéj. Takie niebezpieczeństwo

*) Dobrodziejstwo kass oszczędności nie na tém polega, że odłożony do nich kapitalik przychód przynosi, bo przychód ten jest bardzo mały, a byłby o wielekroć większy, gdyby oszczędzający umiał oszczędzonemi pieniędzmi należycie obracać, — ale na tém raczéj, że drobne sumki, któreby się na zbyteczne rzeczy łatwo wydały, z powodu większéj skłonności człowieka do wydatku, jak do oszczędności, oddane do kassy, chowają się i rosną przez dodatki i procenta. Pod tym względem bilety rentowe, co są na doręczu wydatkującemu, nie dałyby się podciągnąć pod korzyści kass oszczędności.

biletom naszym nigdy zagrażać nie może; a dogodności, któremi i nad kurantem i nad innemi papierami publicznemi celują, wprowadzą je w kurs ogólny, i nie będzie z czasem, jak tylko mała ilość papierów przez agiotagistów na ryzyko puszczanych, i monety taka potrzeb, aby pomniejsze opłacać wydatki.*)

Kiedy takie są korzyści biletów rentowych, chodzi o to, jakby je wprowadzić w życie, a nasampierw, pod jakąby je oddać instytucyą. Dotąd same banki puszczały w kurs papiery i utrzymywały kredyt. W jednych państwach istniał monopol banku centralnego, w innych było dozwolone nieograniczone współubieganie się wielu banków. Atoli tu i tam dawał się czuć brak dostatecznéj garancyi funduszów, a wybiegające na ryzyko, po za tę pewność, spekulacye bankowe, już wielekroć przyprawiły kraje całe o szkody. Nie mówiąc o innych bankach, nie były wyjęte od takiego szwanku ni bank Amsterdamski, najlepiéj uposażony, ni bank Belgijski, z największą oględnością przedsiębiorący obroty swoje. Złe to leży w fałszywym składzie onych instytucyj prywatnych, których działania są dwojakiéj, niezgodnéj z sobą natury, to jest: zarabiania pieniędzmi, co jest rzeczą przedsiębiorstw prywatnych, i bicia papierów kredytowych, co wchodzi w atrybucye publiczne, a zostawione w ręku osób lub korporacyj prywatnych do nadużyć prowadzi.

Pierwszy Law wpadł na myśl potrzebnéj ztąd reformy kredytowego systemu. Pamiętne są jego słowa, które wyrzekł do ówczasowego regenta Anglii: »panujący dawać kredyt powinien, nie zaś go odbierać.« W rzeczy saméj bicie monety kruszcowéj i papierowéj przypada, i słusznie, do wyłącznych należności rządowych, i pojąć nie można, dla czegoby bicie papierów kredytowych, będących takoż wartościami pieniężnemi, do nich należeć nie miało. Prawdą jest, że rząd się nigdy brać nie powinien do przedsiębiorstw prywatnych, ale też i na odwrót, prywatni do attrybucyj rządowych sięgać nie powinni. Jeżeli zaś i w dominialnych własnościach rząd sprawiedliwie rozciąga prawo na bory i kopalnie, jako publicznego tyczące interesu, sprawiedliwiéj je rozciągnąć może na stér i kierunek kredytu, na którym bezpieczeństwo i szczęście tylu rodzin polega, a kraj cały nim w bogactwa lub w upadek rośnie. Dla takiéj to wagi kredytu i tak rozciągłego na wszystkich mieszkańców wpływu potrzeba mu instytucyi, nie tak słabéj i pojedyńczéj, jak jest bank prywatny, ale tak potężnéj i ogółowéj, jak jest rząd. Kapitały obiegające porównać można do krwi krążącéj i ożywiającéj całe ciało społeczne. Trzeba onym żyłom serca, coby krew wenalną, to jest kapitały surowe, wyrabiało na krew arteryjną, czyli na wartości kapitałów pieniężne. Niechaj więc sobie prywatni przez diskontowanie i spekulacye zarabiają pieniędzmi; atoli rząd tylko mocen jest, puszczać w obieg pieniądz kredytowy, a tém samém nadać kredytowi organiczną instytucyą, jako osobny wydział administracyi swojéj. Nie będzie to monopol rządowy, coby było coś gorszego, niżeli jest monopol prywatny, bo rząd nie będzie zarabiał pieniędzmi, nie będzie podejmował spekulacyi; lecz ma to być jedynie taka garancya papierów publicznych, jaką już daje prerogatywa rządu, wyłącznego bicia monety, a nadto podniesienie kredytu i jego operacyi na obszerniejszą skalę, za pomocą obszerniejszych środków.

Rząd i tak zawsze wpływał na banki. Wiadomo, że Pitt więcéj zarządzał głównym bankiem angielskim, niżeli gubernatorowie bankowi, a z tego mieli się tylko dobrze akcyonaryusze. Świeże zaś wypadki w Ameryce nauczyły nas, do czego prowadzi, kiedy bank z rządem stawa w opozycyi.

Kiedy więc rząd zawsze ma tyle środków w ręku, iż wywierać może i wywiera wpływ na instytucye kredytowe, zkąd rodzi się zgubny stósunek wzajemnego sobie ulegania i świadczonych ze szkodą kraju korzyści; pocóż nie ustanowić normalnego rządowego w téj materyi działania bez takich nadużyć? Z dzisiejszego tak dziwotwornego składu banków rozwinąć się musiały wypadki równie potworne, które mianowicie przy pożyczkach rządowych każdego uderzają. Banki biorą na się rolę pośredników, mającego się zaciągać długu; zamiast pieniędzy dają rządowi kredyt swój i to z odstąpieniem ogromnych zysków dla siebie. Rząd zaś na tém się nie poznaje, iż mając więcéj środków do dyspozycyi, niżeli bank, więcéj powinien umieć sobie zrobić kredytu i użyć go na zaradzenie brakowi gotowych pieniędzy. Zamiast tego wymija role z bankiem, składa mu bony skarbowe, to jest, wystawia na siebie wexle, jakby prywatna osoba, a bierze w zamian bilety ban-

*) Bilet rentowy na 10 tal. daje renty rocznéj 2 zł. 5, 7 gr., renty dniowéj 0,18 gr., co już jest wartością pieniężną urojoną. Z tego względu bilety rzeczone niżéj 10 talarów wystawionemiby być nie mogły, i wszystkie wypłaty, kupna, wydatki, idące niżéj téj summy, spłacaneby być musiały monetą. Massa w téj sferze krążących pieniędzy jeszcze jest ogromna, bez niéj p. Cieszkowskiego nowa wartość zamienna obejść by się nie mogła. Z takiéj niedogodności wypada daléj ta ważna okoliczność, że cała korzyść, jaką bilety rentowe przynosiłyby, rozciągałaby się jedynie do bogatszych, którzy kapitałami wyżéj 10 talarów obracają; ci zaś, których zwyczajne dochody na taką wysokość nie dochodzą, a zatém cała klassa ludu służebna, wyrobnicza, rzemieślnicza, w ogólności massy ludu, wyjęteby były z pod tego dobrodziejstwa. A ów przedział bogatych od ubogich, który już dziś staje się tak zatraszającym, rozstąpiłby się jeszcze o wiele więcéj.

kowe, mające kurs publiczny. Nie dosyć na tém: złudzenie daléj jeszcze sięga. Rząd nie pyta, jakie są fundusze banku, chce tylko jego kredytu, a kredyt ten stoi jedynie na funduszach rządowych, w zastaw ofiarowanych i przez poprzednie pożyczki już nabytych. Obcy zatém kredyt własnym kredytem kupuje.

Z tych tedy wszystkich względów wypada, że rząd stér kredytu objąć i na własnych funduszach oprzeć go powinien, a będzie mu łatwo nie tylko potrzebom skarbu zaradzić, ale i błogie ztąd dla kraju rozwinąć korzyści.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Co mi tam!

Co mi tam! — wszystko mi jedno,
Czy dziś — czy jutro —
Porzucę tę ziemię biedną,
I rzucę ciało, jak futro!
O! bo jak w futrze, tak w ciele
Dusza się nieraz spociła;
Przez niego nieraz wypiła
Goryczy i cierpień wiele!...

Co mi tam! że dziewcze piękne
Zapłacze, na grobie klęknie;
Klękałem — lecz dziś nieklęknę,
Dwa razy serce niepęknie.
Klękałem — serce pękało —
A ona śmiała się zemnie,
Gdy w proch się rozsypie ciało,
Z niéj się rozśmieję wzajemnie!

Co mi tam! — pączu mi doléj!
To życie niewarte tyle
By jednę ominąć koléj,
Ja każdą koléj wychylę!
I w życiu, kolei człowiek
Jak na biesiadzie niemija,
Ciągle się trzeźwi, upija,
Wytrzeźwi — zawarciem powiek.
Ach! szaleć w życia zamęcie,
Lepiéj niż przespać, przenudzić,
Chociażby jak żyd wyłudzić
Od świata, choć szał w procencie!

Co mi tam! — żeby z cierpienia,
Z nieszczęść nawały wypłynąć,
Trzeba się upić chęcią ocalenia,
Skrzydła na przeciw burzy wytężyć, rozwinąć!
Trunku namiętności trzeba,
Żeby wielka myśl urosła,
Potrzeba w dłoń szaloną, żelaznego wiosła,
Żeby na kruchéj łodzi dobijać się nieba! —

Co mi tam! wszystko mi jedno
Krócéj — czy dłużéj na świecie! —
Polecę z mą duszą biedną
Dla siebie, dla was, do nieba po kwiecie!....

E. Wasilewski.

O filozofii przedmiotowej.

(Dokończenie.)

Trójca jest razem troistością, jednią dwóch przeciwni; to jest treść ma zarazem w sobie formę. Tak i metoda dyalektyczna Hegla z saméj treści filozofii jego wypłynęła. Myśl każda wyrabia się na przeciwną; z połączenia, a raczéj przeniknienia się obydwóch, powstaje myśl trzecia, nowa, w któréj znowu dwie wykrywają się pobocznice.*) Ta troistość — co tu łatwiéj będzie do poznania — saméj przyrody jest metodą. Cały organizm i nieorganizm natury w systemie planet i słońc ujednia się; cały nieorganizm jest przecznicą ciał stałych i ulotnych, których średniowką są ciała płynne; cały organizm na dwie płciowe rozłożony natury, trwa jedynie przez wzajemny ich do siebie w jedność pociąg, czyli zapładzanie się. Tak każda siła z dwóch sił sprzecznych rodzi się; sam człowiek zlewkiem dwoistéj natury, duszy i ciała; każdy uczynek jego wynikiem pomysłu i wykonania.

Filozofia przeto Hegla, lubo spekulacyjna, jest przedmiotowa, bo myślą myśl w zewnętrznem jéj istnieniu pojmuje. Ale właśnie, że tylko saméj myśli docieka, jéj saméj wyłączną nadaje rzeczywistość, któréj nie mają wszystkie zewnętrzne pojawy tworów, ludzi i stósunków, uważane jako znikome, przypadkowe; przedmiotowość jego filozofii jest idealna; świat rzeczywisty samego ducha, w którym trudno rozbić namioty dla myśli przywykłéj odbywać wędrówkę po okolicach ziemskich.

Szanowny ziomek nasz, Bronisław Trentowski, przeniósł w idealizm filozofii niemieckiéj, narodowe usposobienie, ową naszą do pojmowania zmysłowéj rzeczywistości skłonność, i dla tego z systemu jego, przystępniejsze do naszego zrozumienia przemawiają pomysły. Filozofia jego jest filozofią bezpośredniego dostrzegania prawdy, pojmowania wszystkiego tak, jak się zarazem zmysłom i myśli przedstawia. Utrzy-

*) Ten wyraz Petrycego, znakujący dokładnie dwa rozstajne pojęcia, przywrócił znowu P. Kremer w swoim rysie filozoficznym umiejętności.

mana więc w niéj owa strona zmysłowości, owa empirya, od którćj się człowiek oderwać nie może, ale wraz także uzacniona duchem, z-idealizowana. Pojmuje rzeczywistość, nie natury, nie ducha w osobni, ale obu w połączeniu czyli rzeczywistość życia. Jak tę filozofią autor przeprowadzi, następne jego wykażą pisma; dzieło jéj zasadowe pierwsze dopiero doń rzuciło fundamenta. *)

Na tém kończymy charakterystykę przedmiotowych systemów filozofii. Zamykamy onych filozofów księgi a urobione w nas na tych wzorach pojęcie przedmiotowéj myśli, według własnego widzenia rzeczy wyłożymy w najbliższych numerach pisma tego.

Libelt.

Maciej Strykowski,

przez W. A. Maciejowskiego.

Na wstępie do najznakomitszego swojego dzieła: »Kronika litewska, polska, zmodzka, y wszystkiéy Rusi, kijowskiéy, moskiewskiéy, siewierskiéy, wołhyńskiéy, podolskiéy, podgórskiéy, podlaskiéy, w Królewcu 1582«, Strykowski opisał wierszem życie swoje. Dowiadujemy się ztąd, że miasteczko Strykow, blisko Łowicza położone, było miejscem urodzenia jego, i że ta osada była gniazdem rodziny Ososztewów herbu Leliwa, z której on pochodził. Powiada, że się urodził w środopościu. Miało to nastąpić r. 1547 podług księdza Juszyńskiego; sam Strykowski nie oznaczył lata, w którym przyszedł na świat. Pobliskie Stykowowi, miasteczko Brzeziny, było mu, jak mówi, Padwą i Bononią; tam pobierał początki nauk, począwszy od roku szóstego swojego życia. W chłopięcym wieku udał się po raz pierwszy do Litwy w r. 1565.[1]) Podrosłszy ćwiczył się w naukach na uniwersytetach włoskich i niemieckich, zaszczycając się względami sławnych pod ów czas filozofów i krytyków Budeusza, Manucyusza, Robertella, Karpentaryusza i innych.[2]) Następnie upodobał sobie rycerskie rzemiosło, zwiedził kraje północne, Moskwę, Finlandyą i całe nadbrzeże Baltyckiego morza. Chęcią widzenia obcych ziem wiedziony udał się nawet na południe i wszystkie ówczesne posiadłości Turków w Europie i Azyi leżące odwiedził. Działo się to w czasie obudwóch bezkrólewiów przed panowaniem Stefana Batorego.[3]) Z ciekawością oglądał miejsce, gdzie Owidyusz przemieszkiwał, będący tu niegdyś na wygnaniu u Tomitów. Podziwiał skaliste Bałchany (góry Bałkanu) i pilnie przypatrywał się tutejszym okolicom, sławnym z dziejów krajowych i obcych. Biegły w kunsztownych pracach, które już w ówczas popłacały u Turków, miał z nich pewne utrzymanie, rysując różne postaci, i takowe złotem i kolorami ozdabiając.

W podróżach swoich szczególniéj uważał na wszystko, co się dotykało słowiańskich a mianowicie też polskich dziejów. Za Karpatami bawiąc, widział nędzę tamecznych Słowian jęczących pod jarzmem Turków,[4]) i płacząc nad niemi powtórzył z Jeremiaszem prorokiem:

Dziedzictwa cudzoziemcom nasze się dostały,
Srogie ręce sierotom chleb własny pobrały,
Wodeśmy własną swoję za pieniądze pili,
Drwaśmy sobie u pogan w niewoli kupili,
Nad szyją nam okrutni katowie stojeli,
Spracowanym od pracéj wytchnąć dać nie chcieli.

Widział w Carogrodzie nad morzem hak, który był grobem sławnego Wiszniowieckiego, patrzał na tryumfy tureckie, słyszał na własne uczy, jak Mechmet Basza posłowi polskiemu Taranowskiemu wymyślał (są to jego słowa). Był obecny temu, kiedy tysiąc przywiedziono chłopów chrześciańskich z dziesięciny wybranych (każda rodzina dać musiała dziesiąte swe dziecię płci mężkiéj, lub z kilku rodzin wybierano dziesiątego chłopca), ażeby ich ćwiczono na jańczarstwo w serajach tureckich. Powiada, że za jego czasów tyle Turcy do piekieł nagnali cieniów, że sam Pluto narzekał, na przepełnienie swych gmachów, że kazał Parkom prząść co najdłużéj pasmo ludzkiego życia, że Charon nie chciał więcéj wozić zmarłych, a na polach elizejskich nie było miejsca dla nowych przybyszów.[5]) Kończąc ten opis, tak mówi[6]):

Przyczymem był obecnie nie piszę z powieści,
Ani z owych co baby prawią, w jatkach wieści.

---

*) Obszerniejszy rozbiór krytyczny tego dzieła daliśmy w Tygodniku literackim (od 6. do 11. numeru roku I.), dokąd ciekawych poznać bliżéj filozofią p. Trentowskiego, odsyłamy. — Na zarzut uczyniony téj krytyce pod względem formy, w Przyjacielu Ludu nr. 22. i 23. rok V. w artykule pod tytułem Uwagi nad filozofowaniem, odpowiadamy tu pokrótce: iż dzielimy całkiem zdania autora uwag co do jasności i zrozumiałości języka, jako koniecznego warunku, kiedy ktoś z oryginalnemi a przynajmniéj przerobionemi pomysłami, w przedmiocie filozofii, przed publicznością ku jéj oświeceniu występuje; ale chcąc napisać po polsku krytykę niemieckiego filozoficznego dzieła, a bardziéj jeszcze systemu, nie widzimy sposobu, jak uniknąć przepolszczenia cechujących ten system kategoryj, jak wykryć, a nie wypisać, głębokie jego pojęcia, jak więc być zrozumiałym dla nieobeznanych z filozofią niemiecką, dając bieglejszym w niéj krytyczny dokładny nowego systemu obraz.

[1]) Kronika str. 372.

[2]) Juszyński w życiu jego świadczy to, lecz nie mówi skąd wyczerpał tę wiadomość o Strykowskim.

[3]) Przypisanie Kroniki temuż królowi.

[4]) W pieniu o niewoli Tureckiéj.

[5]) Dosłownie z tegoż pienia, tudzież z napominania do rycerstwa.

[6]) Tamże, tudzież w pieniu o porażeniu Turków.

W r. 1574 jeszcze podrożował Strykowski [7]) i zwaliska starożytnéj Troi oglądał w Azyi, lecz już w tym samym roku wrócił do kraju i zaczął wydawać dawniéj napisane swe dzieła. Zostawszy kanonikiem żmudzkim, osiadł w Miednikach. Snadź Alexander Chodkiewicz zwabił go w te strony, z którym żył ksiądz Maciéj w ścisłéj zażyłości. Jemu on swoje przypisywał dzieła, jego wysoko cenił, gdyż (mówi Strykowski we wstępie do wjazdu) jak niegdyś rzymski Pollio Marona, ich Mecenas Flakkusa, a Messala Tybulla ku rymowaniu poruszył, tak zacny Chodkiewicz jego zachęcił do pisania wierszy. Nową ojczyznę swoją tak polubił, że lubo sam był Polakiem z urodzenia, przecież Żmudzinem się być mienił. Gońca swego przypisując Patryéy i swym pobratinom Lachom i Litwinom. [8])

(Dokończenie nastąpi.)

Bądźcie prostodusznymi, jako gołębice, a chytrymi, jako węże.

Powieść *Gustawa Ehrenberga.*

(Dalszy ciąg.)

V.

Kobieto! puchu marny, ty wietrzna istoto!
Mickiewicz.

Adolf przechadzał się między kasztanami i patrzał w gwiaździste niebo. Ale księżyc był blady, jak gdyby miał febrę, chmurki przesuwały się po nim, jak złowróżbe myśli po czole; gwiazdy mrugały oczami, jak zalotnice, a szare cienie kasztanowych liści, z pomiędzy których przedzierał się biały promień księżyca, tak ironicznie pląsały po murawie, jak szatan na weselu. Więc Adolf spojrzał na Tatry, co bieliły się w dali; ale ich postać posępna i niewzruszona, ich biała suknia gdzie niegdzie szaremi szmatami połatana, mimowolnie przywiodły mu na myśl obraz owych pomarszczonych czarownic bez zębów, z siwemi włosami na wiatr rozpuszczonemi, co w nocnéj porze, na łyséj górze, złowróżbe odprawują sejmy. Nocą Tatr nie widać

Adolf już nie patrzał ani na księżyc, ani na kasztany, ani na Tatry, ale spuścił oczy i dumał; — i wyobrażał sobie Kocię, otoczoną blaskiem wdzięków, łagodności i tęsknoty, — serce mu biło żywiéj, — obok téj anielskiéj postaci rysował w swojéj wyobraźni dziwny szkic Karola — przypomniał sobie szatańskie słowa ostatniéj z nim rozmowy, — przypomniał sobie ów zamienny uśmiech, owo tajemnicze porozumienie się i zadrzał: Karol jest szatanem, Karol uwiódł Kocię, Kocia zgubiona.

W ogrodzie była altana. Jedną razą zdało się Adolfowi, że coś się w téj altanie ruszało i że z niéj jakieś szepty wychodziły. Adolf był słabego charakteru, dużo miał w sobie niewieściéj natury, a zatém nie mało ciekawości. Zakradł się cichutko za altanę, wpoił oko i ucho w szparę, patrzał i słuchał. Księżyc oświecał dwie twarze: twarz Karola i Koci. Adolf oniemiał, jego ciekawość się podwoiła, słuchał; ale że rozmowa była cicha, wiatr szeleścił liściami a odgłosy kapeli aż tu dochodziły, przeto nie wiele wysłuchał. Jednakże złapał kilka wyrazów; — kilka wyrazów jest zawsze czemś — bo kilka wyrazów może wiele rzeczy objaśnić — albo zaciemnić. — »Ale to mnie wystawi na plotki, obmowy,« mówiła Kocia. — (Adolf nie dosłyszał odpowiedzi.) — »Nie, to być nie może,« mówiła znowu Kocia, »ja wszystko powiem mężowi.« — »A ja spodziewam się, że tego nie uczynisz.« — (Droży się, myślał Adolf, odgrywa komedyę, ... o kobiety! zalotnice, brudne istoty!) — „A zresztą pozwól, namyślę się....« — (Oho! już się namyśla, to niedługo i przystanie.) Tu bardzo cicho rozmawiali, Adolf nic nie dosłyszał. — »Wybornie!« mówiła znowu Kocia, „tylko trzeba czas oznaczyć.« — »Tamto ma być o 1éj, więc to powinno być o północy.« — »Dobrze! ale konie, bryczka.« — »Musisz sama o tém pomyśleć.« — »Zobaczę.« — (Oho! to już się na piękne porozumieli, nie dała się długo prosić, ale on jaki sobie pan, już jéj rozkazuje.) — »Trzeba sypialnie przemienić.« — »To najłatwiejsza rzecz.« — Muzyka zarznęła tęgiego mazura i zagłuszyła rozmowę. — »Czyliż to istotnie będzie szczęściem?« — »A czemże jest szczęście, jeżeli nie spełnieniem życzeń?« — (Bezwątpienia, jeżeli tylko życzenia są szczere). — Znowu milczenie, potém Kocia zawołała: »Wybornie! ślicznie! naśmieję się do woli.« — Zdawało się Adolfowi, że słyszy pocałowanie. Wreszcie wyszli oboje z altany i wrócili do domu. Adolf został.

»Wybornie! ślicznie! naśmieję się do woli!« powtarzał sobie Adolf. O kobiety! któżby się był tego spodziewał. Zna ją od kilku godzin i już ją uwozi! ona się nawet postara o bryczkę i konie. Kto wie? może się dawniéj znali. — Co znaczy to i tamto, 12a i 1sza? niewiem. Zdaje się, że o 1éj uciekną, a o 12éj przygotowania się zaczną. Mówił coś o sypialni, to już bardzo poufale. O! bezecna niewiasto, a jednak szkoda jéj; tak młoda i tak zepsuta, tak piękna i tak niewierna, tak łagodna i tak bezwstydna, tak tęskna i tak płocha! »kobieto! puchu marny, ty wietrzna istoto!«

---

[7]) Kron. str. 170.
[8]) Słowa są Strykowskiego, Goniec narod. 8.

Z zakrwawioném sercem Adolf wrócił do sali, bo Adolf już i w cnotę zaczynał nie wierzyć. Kocia była bardzo wesoła, śmiała się, tańczyła; Karol spokojnie grał w wiska, — a kiedy niekiedy oboje zamieniali ukradkowe spojrzenia i uśmiechy.

VI.

To figura niezwykla!
Pierwsza para gdzieś znikla.
Odyniec.

O godzinie 10téj tańczono i pito. Karol grał w wiska, Kocia się uśmiechała, Adolf patrzał, panna Giertruda się wdzięczyła, pan Paliwoda brwi marszczył i dumał, sercunio gości winem częstował, a nie zapominał o sobie.

O 11stéj już mniejszy był zapał. Tańczyć nie chciano, kieliszki nie tak ochoczo krążyły, wisk szedł oporem, świece się dopalały, kawalerya ziewała, winem zaszłe powieki mrużyły się, damy skupiły się w jedno miejsce i szeptały między sobą. Trzeba wiedzieć, że na wsi wtedy się kończą wieczory i zabawy, kiedy się w mieście zaczynają. Zresztą trzeba i to wiedzieć, że wszyscy mieli u sercunia przenocować, a nazajutrz raniuteńko powyjeżdżać do domów, więc nie dziw, że się po jedynastéj już do spoczynku zabrali.

Mężczyzn wpakowano do stodoły. Zagrzani winem wkrótce chrapać zaczęli. — Pan Paliwoda się zaklął, że ma się bardzo śpieszyć, a że noc była jasna a do domu miał tylko półtory mili, wsiadł na bryczkę i pojechał. — Karolowi spać się nie chciało. Pod pozorem lekkiéj indyspozycyi poszedł w ogród zażyć miłego chłodu. — Damy pokładły się, jak mogły, po gościnnych pokojach. Kocia i panna Giertruda odeszły do swoich komnat, które położone na lewém skrzydle sercuniowego dworka, wychodziły na wielki trakt przez środek wsi przechodzący.

Zapomniałem powiedzieć, że i Adolf nie poszedł spać. Sercunio wydawszy rozkazy względem noclegu, gdy już tysiączne dobranoc, spokojnéj nocy, przekrążyły po wszystkich ustach, zabierał się do spania, ale widząc, że Adolf jeszcze został, kazał zrobić ponczu i zaprosił go na partyjkę marjasza. Stary szlachcic gaduła polubił młodzieńca, co cierpliwie słuchał jego gadek i mało się odzywał.

Adolf chętnie przystał. Już od godziny walczył on z sobą i roztrząsał w swoim umyśle, azali ma wyjawić przed sercuniem to, o czém się dowiedział — i tym sposobem zapobiedz zdradzie Karola i hańbie Koci, — czyli też przeciwnie miał uledz obowiązkom, jak mniemał, przyjaźni i o wszystkiem zamilczeć. W téj chwili się zdecydował i postanowił przy marjaszu ostrzedz sercunia. Ale — o dziwna niestałości zamiarów ludzkich! sercunio już dwa razy dublę wygrał i 40 marjasza wyświęcił, — Adolf jeszcze się namyślał.

Dwunasta biła. Wszyscy chrapali. Na podwórzu czy na drodze dało się słyszeć jakieś rżenie koni. — Sercunio na to nie zważał, Adolf się zmięszał. — »No, grajże waszmość, odrzuć do maści. Cóżeś się tak zamyślił?« — »Ja myślałem o niestałości kobiet.« — »Słusznie mówisz. Genus femininum mendax et instabile. Dwadzieścia marjasza.« — »Częstokroć pod anielską powierzchownością ukrywa się najczarniejsze serce.« — »M-hm! Pik atu, czemu nie atutujesz?« — »A ta, co nas pieszczotami obdarza, goryczą i jadem nieraz w skrytości zatruwa.« — »O, doświadczył ja tego także za młodu. Przez sześć niedziel leżałem, a bożek Merkury był nieźle w robocie, mości dobrodzieju! — czemu nie pijesz? poncz ci wystygnie.« —

I tak przez godzinę rozmawiali, grali i ponczem popijali. Adolf krążył koło celu, a dojść do niego nie mógł, bo stary szlachcic nie bardzo był domyślnym, a wachający się charakter Adolfa nie pozwalał mu wręcz prawdy powiedzieć.

Spojrzał na zegar, pierwsza dochodziła. To mu dodało odwagi. Rzekł przerywanym głosem: »Daruj pan, że tak otwarcie przemawiam; różne powody skłaniają mnie do tego. Jestżeś pan pewnym wzajemnéj miłości? jestżeś pewnym, że nie jesteś zdradzonym?« — »Ba, ba, ba! cóż to sobie waszmość myślisz? albož to ja w spodnicy chodzę? zresztą.....« — Wtém dał się słyszeć krzyk niewieści, śmiech męski, turkot kół i trzaskanie z bicza. — »A tam co? do stu beczek!« zawołał sercunio. — Adolf chwycił go za rękę: »Gdzie jest twoja żona?« — Sercunio wyleciał, wpadł do pokoju żony. Okno otwarte, nie ma jéj. — Zwołał służących. Ci przetarli oczy, rozdziawili gęby, struchleli; myśleli, że gniew pana na nich się wywrze. Jeden z nich zeznał, że prowadząc na podwórcu romans z dworską dziewką, w porywającym poznał, jak mu się zdawało, pana Paliwodę; ale że pan Paliwoda siarczyście mu pogroził, on przeto nie śmiał już ani pisnąć.

Sercunio w największym gniewie kazał zaprządz do bryczki. Szukają bryczki, bryczki nie ma. — »Mości Adolfie,« rzekł sercunio stłumionym głosem, »wsiadajmy na konie, gońmy tego łotra!«

Adolf był wewnętrznie przekonanym, że nie Paliwoda porwał Kocię, ale Karol — jednak zważywszy, że stara przyjaźń znów się w jego sercu odezwała, — zważywszy nadto, że sercunio w swoim gniewie nie uważał niebytności Karola, — zważywszy wreszcie, że, niewiedząc w którą stronę Karol ujechał, choćby wszystko

serciuniowi wyznał, na niby się to nie zdało, postanowił milczeć i z sercuniem gonić Paliwodę.

Sercunio niekazał gości budzić. — Wsiedli. Pędzili, co tylko konie mogły wyskoczyć. — Ujechali pół mili, — przed niemi był las, na boku karczma. Ale że pędzili galopem, noc była ciemna, droga zła, koń sercunia potknął się o drzewo rozwalone śród drogi, sercunio wpadł w błoto, głową o drzewo uderzył, nogę zwichnął i guzów co nie miara oberwał. Adolf go podniósł. — Sercunio chciał wsiąść znowu na konia i pędzić dalej, ale na próżno; osłabiony zaledwie z pomocą Adolfa zdołał się przywlec do karczmy. Tam żyda zbudzili, ogień kazali rozniecić; sercunio położył się, ale nie spał, — klął i pienił się. Adolf zapalił fajkę, założył ręce, dumał, a wreszcie — zasnął.

(Dokończenie nastąpi.)

Krytyka.

Orly z Herburtów i gminna cudowność.

(Nadesłano.)

(Dokończenie.)

Po wyłożeniu idei powieści Orly z Herburtów, opowiedzmyż ją teraz porządkiem przez autora obranym. Polegając na podaniu, iż Herburtowie przemieniali się w orłów, maluje nam autor miejscowość i zamek Dobromilski w chwili, kiedy jeden z Herburtów był w nim starostą, a drugi jakiś przodek zapewne, już w postaci orla okoliczne trzody przerażał i zdobycz na swoją skalę unosił. Rozgniewany pan zamku strzelił do ptaka i chybił, a przypisując to starości swojéj, kazał synowi wprawiać się w strzelaniu, aby nie doznał kiedyś podobnego wstydu i zawodu, tém bardziéj jeżeli przyjdzie strzelać na Tatarów. Niewiedział starzec, iż ta wprawa posłuży młodzieńcowi, ażeby w czasie tem nie omylniéj nauczyciela swojego zastrzelił. Tak jeszcze przed winą starego Herburta zasiewał ów własną ręką zarody swojéj przyszłéj kary, bo też i zarody winy leżały w jego charakterze, a ta która nam autor na przykład przytoczy jest może ostatnią w dlugiém życiu dumnego. Chybiony orzeł unosi się w powietrze, a z marzeń jego widzimy, że świadomość przeszłego bytu w nim niezagasła i że teraźniejsze położenie jakkolwiek jest karą za błędy życia minionego, nie jest jednak wstecznym krokiem w łańcuchu przyrody, ale owszem miejscem dalszego doskonalenia. Tu zmienia się scena; stary Herbert przeklina i wydziedzicza córkę, że miłości swojéj bez względu na jego dumne widoki uległa. Bezpośrednio po popełnionym występku nasuwają się obrazy przygotowanéj kary. Wieść przemieniania się Herburtów w orłów jest tu uzupełniona, uczyniona prawdopodobną i filozoficznie wyjaśniona; nie dowolnie ale według mądrości ludów u których nauka przechodu dusz wykończoną była umiejętnością, a od których najpodobniéj prostemi czy ubocznemi drogami i do nas się dostała. Że zaś tu chodzi o wykrycie związanych zlą wiarą tajemnych praw przyrodzenia, wzywa autor za wykładaczy też same fizycznie już nie żywe narody, to jest ich duchów. One pokazują nam jaja w gniaździe orlicy naucząjac, że takowe rożżyją życiem nie nowém ale obcém, w przyrodzeniu już istniejącém, bo:

przyroda w wiecznym pędzie
Jeden ogół ma od wieka.
Ni przybędzie, ni ubędzie,
Od kamienia aż do człeka;
Każde życie śmierć znachodzi,
A śmierć każda życie rodzi.

Owoż to jest kamień węgielny wiary w przechód dusz. Za jego wykryciem to co u gminu zdawalo się z razu urojone, niepojęte, cudowne, zyskuje swoją przyrodzoną posadę, swoją wyrozumowaną przyczynę; przestaje być cudownėm, dziwacznem, a poczyna być pojedyńczem, zwyczajném, koniecznem i autor zbłądził nazywając powieść fantastyczną, czemu krytyk M. Gr. na ślepo uwierzywszy coś tam o elemencie fantastyczności i o gminnéj cudowności rozpoczyna. Za lekce sądziemy podania, bajki i mniemane urojenia ludu kończąc badanie na tém, że są cudowne. Wględnijmy głębiéj a dojrzymy może i jądro. Większa część tych oku naszemu dziwacznémi wydających się postaci jest starożytnych abecadłem duszy, znakami dla myśli i niemającym trzcionek dla oka, to jest symbolami; powtórnymi nie raz bo w napływie wieków i pokoleń wiele obcego do swojéj pojedynczości przyjęły, co też je czyni dla nas często nieczytelnemi, zwyczajnie jak stare pismo spłowiałe od przygód i ręką czasu ścierane.

Wracajmy do naszéj powieści:

Po ogólnym wykładzie zasad nauki przechodu dusz zwracają duchy zaraz uwagę na śpiącego w zamku starostę, jak gdyby chcieli wytknąć tą skazówką, że co dopiero o jajach i ich nabyć się mającém życiu powiedzieli, jego się dotycze. Trudno nie domyśleć się reszty, wiedząc już poprzednio, iż według przyjętego podania ludu, Herburtowie przemieniali się w orlów, tem bardziéj, że duchy same opowiadają nam, iż malowidłem przyszłości i zgotowanéj kary przestrzegają we śnie, kiedy życie jest występne. Jakoż istotnie napastował w nocy sen gorączkowy starego Herburta, i obudził się z rankiem cierpiący i slaby. W rozpalonéj głowie placze się jeszcze niedokladnie sen niedokladny. W twarzy stojącego przy łożu syna zdaje się upatrywać podobieństwo do swego sennego zabójcy, przypominać sobie rysy, przed któremi we śnie się wzdrygał:

Tak tyś zbójca! tak to ten!
Tyś to synu! tyś to był!

Sen starca, którego źródło nam znane, pojawia się przerywanie, nie jasno w urywkowych obrazach i słowach jak owa wróżba Pythyi w konwulsiach, z któréj nie można odgadnąć przyszłości, lecz do któréj wszystko cokolwiek nastąpi da się, jako przepowiedziane, zastósować. To co nam o niém slaby w trwającéj jeszcze gorączce opowiada, jest jego wiernym wizerunkiem, jakkolwiek nie jedno z dokladności snu samego pierzchnąć musiało. Zdaje się, jakoby śnił starzec iż on synowę swoją o wstyd i nieszczęście przyprawił, za co go własny syn zabił Przeto chcąc młodzieniec odwieść od obląkania i uspokoić umysł ojcowski, przedstawia mu, iż nocne widzenie było tylko czczém, klamliwém straszydlem; gdyż on niema żony i jest chrześcianinem zbrodni tak czarnéj niezdolnym. Zdaje się przytém rzeczą potrzebną, aby te powikłanie uczuć, ten staw gwałtownych wzruszeń oddawać wierszem zmienionym, przerywanym, niby niepewnym, aby zbudować ciało na podobieństwo ducha, który go ożywił.

Na wieść słabości Herburta starego przyjeżdża wydziedziczona córka wraz z mężem. Nie żąda majątku tylko przebaczenia i ojcowskiego błogosławieństwa, którego jéj jedynie do zupełnego szczęścia brakuje. Tu zawrzał na nowo cały gniew dawny, nie przytlumiona duma Herburta obraża go iż córka obejść się może bez jego datku, bierze to lękliwe zrzeczenie się czystéj duszy za wyrzut. Nie pomogła przestroga duchów, przybliża się spiesznie do przygotowanéj mu kary; oddaje córkę na nowo pastwie okropnych niespokojności i zgryzot — przeklina ją, poprzestając na jednym synie; lecz w gwałtowności poruszeń myśl o synie pada gdyby błyska-

wica na ściemnione tło okropnego snu. Nie może zbójcę nazwać synem swoim:

Co mój syn! — już kula leci . . . .
Niemam syna! niemam dzieci!

W tym przebija się smutne uczucie zagłady rodu. Przeto usiłuje syn powrócić go na nowo do zmysłów;

Drogi ojcze! to był sen. —

Tak tedy męczarnie starosty zaczęły się jeszcze w jego ludzkiéj postaci; ale nie odpokutował niemi wszystkich przewinień, i kara ścigała go daléj. Uniesiony walką namiętności i gwałtownością wstrząśnień, strawiony gorączką, wyczerpnąwszy siły żywotne, uspokoił się i usnął. Dusza jego coraz więcéj oswobodzała się z więzów ciała, które już było na pół umarłém, był to sen jego ostatni, sen magnetyczny. Nie gorączkowy i burzliwy jak poprzedniczy, w którym jeszcze tyle życia i zdrowia pasowało się znadchodzącą śmiercią, ale spokojny i jasny, prawdziwie proroczy. Widział on w nim jedyny środek zachowania życia, nie były to lekarstwa jakie podawano, wypadało się napić z łupek orlicy gdzie owe życie się przenosiło. Ale na ten czas musiałby znosić dolegliwości życia raz drugi, a jakichże by się czasów doczekał!

Ciężkie kraj ten dotkną kary,
Prześladowce naszych grzychów,
Zgubią go domowe swary.

Tu czwarty wiersz, nie wiem, opuszczony; ale z rymu sądzić należy, iż ściągała się mowa do mnichów. Z uwagi że klęski narodowe przypadłyby właśnie w czas drugiego życia naszego Herburta, wnosimy zbliżenie w jakich latach to zdarzenie pomieścić. Stary Herburt umarlszy w postaci ludzkiéj, odrodził się w orle.

Każde życie śmierć znachodzi,
A śmierć każda życie rodzi.

Następuje opis pogrzebu, żal starościca, a zarazem dowiadujemy się, że orlicze pisklęta istotnie już się wykluły. Czas uśmierzył boleść młodego Herburta. Zaczyna się sprawdzać ów niezrozumiały sen chorego starca: syn jego pojął żonę. Ale gdzież jest on sam? Grek i Rzymian szukaliby go wraz z Orfeuszem w ciemnym Orkusie; chrześcianin w czyścu, według nauki o przechodzie dusz, żyje on gdzieś pośród nas, podanie ludu powiadą nam, iż żyje w orle, a powieść wytyka w którym. Mamy go znowu. Istnienie nasze po śmierci, jakkolwiek go sobie wystawimy, będzie zawsze przedmiotem ogólnego zajęcia. Z najwyższą ciekawością idziemy z Wirgiliuszem i Dantem do ich otchłani. Wiara w przechód dusz jest w tym rodzaju najobszerniejszém polem do marzeń, najobfitszą kopalnią dla poezyi i dla filozofii podobno. Kiedy żywioł jest swojski, dla czegoż go nie użyć?

Młoda żona Herburta wyszła jedną razą na przechadzkę za mury zamkowe; ów znany nam Herbut stary a teraz orzeł dorosły porwawszy u stóp jéj jagnię, przeraził ją śmiałością i drapieżnością. Rozgniewany starościc przypomniał sobie wprawę strzelecką, zastrzelił orla, ale pani poronila z przestrachu. Z nadzieją ojca zginął ród jego. Nie było już Herburtów na ziemi, ani orłów na skale dobromilskiéj. Tak sprawdził i wyjaśnił się sen starca, a spełniła się miara sprawiedliwości bożéj. Tu autor przykuwając powieść swoją do czasów, w których ją chciał umieścić, nadając jéj koloryt miejscowy, wskrusze i przerażeniu nad nieuchronnością wypadków poleca dalszy ich bieg miłosierdziu bożemu i kończy przez kyrie eleyson.

Następuje krótki wiersz pod nazwą: dnia duchy. Jak w obrazie kilka promieni, gdzież z za gór wyglądającego słońca, tak ten dodatek rzuca świeże światło na całą powieść. Powiada w nim autor, iż życia błąkają się z postaci w postać, z ciała w ciało, dopóki ich z téj niewoli zmysłów albo zasługi cnót, albo wytrwanie przeznaczonych kar nie uwolnią; upatruje daléj, w owych bladych, swobodnych i lekkich obłokach bujających po błękicie, łśniących w promieniach słońca, podobieństwo do życia tych zniewoli zmysłów już uwolnionych duchów, których dnia duchami nazywa. Przypatrnją się oni z upodobaniem niskiéj grze światowéj, nie raz ich jeszcze uludzą, ziemskie powaby i wdzięki; mamy tego przykłady w Moora miłostkach aniołów i w upadku anioła Lamartinowego. Ale rzadkie są to wydarzenia, bo wyniesione raz do doskonalszego poznania i użycia strzegą się, aby z własnéj winy przywdziewając ciało na nowo, nie poddać się tylu cierpieniom, od których już byli wolnymi, który to pomysł wcielania się duchów oddawali starożytni symbolem zjedzenia z drzewa ciała a lud nasz w symbolistyce swojéj, idąc za zdaniem niektórych skryptorów wieku średniego, drzewo to jabłonią nazywa. Tak tedy usiłował autor starożytne pomysły w takiém zmieszaniu z nowszemi pojęciami chrześciańskimi oddać w jakiém je w ludzie naszym istotnie napotkał.

A każdy się chroni,
Jeść z ciała jabłoni.

Tak rozumiem Orły z Herburtów. Nareszcie przypomnę, iż do téj powieści wkradła się znaczna liczba błędów drukarskich. — *N.* . .

Rozmaitości i doniesienia literackie.

Jak wielki wpływ na rozszerzenie zamiłowania malarstwa w poznańskiém ma tutejsze towarzystwo sztuk pięknych (malarstwa i skulptury), okazuje się corocznie więcéj. Stan kwitnący i dobroczynne skutki przedsięwzięcia tego podały myśl kilku znanym i szanownym wielbicielom muzyki do założenia podobnegoż towarzystwa muzycznego, którego celem ułatwianie wykonywania publicznie wielkich klassycznych kompozycyj dawnéj i nowéj szkoły — instrumentalnych i wokalnych. — Tymczasem ma być corocznie danych 8 koncertów publicznych; każdy członek towarzystwa płaci z familią rocznie 6 Tal. — bez familii 4 Tal., za co ma wolny wstęp na koncerta próby i t. d. Mamy nadzieję, iż przedsięwzięcie to pomimo trudności które już dziś napotyka w krótce do skutku przyjdzie, i że nietylko mieszkańcy Poznania, ale i obywatele mieszkający na prowincyj przez liczne przystąpienie do towarzystwa tego, okażą i przy téj sposobności, że w każdém przedsięwzięciu wznicsienie zamiłowania sztuk pięknych mającém na celu — żywy udział biorą, i chętnie je wspierają.

W. Maciejowski, ukończywszy swoje dzieło o zwyczajach i obyczajach Polski, pracuje obecnie nad ostatecznem wykończeniem Obrazu literatury polskiéj w XV. i w XVI. wieku, będzie to część jedna wielkiego dzieła i literaturze polskiéj, którą uczony mąż ten napisać postanowił.

Czaykowski wyda: Gawędy, zbiór powiastek prowincialnych — a Słowacki pracuję nad nową trajedyą: Lilla Weneda. Zapowiedziane są: Śpiewy, zwyczaje i obyczaje ludu białoruskiego.

W Krakowie w drukarni Czecha wyjdą: Śpiewy ludu krakowskiego, ozdobione dwiema rycinami.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*